

Straciłeś nagle władzę?
Czas na skok życia!



Hrabia, czyli jak ukraść pół miasta



Niemoralna
komedia kryminalna

L I R A
WYDAWNICTWO

JACEK GETNER



Hrabia,
czyli jak ukraść
pół miasta

JACEK GETNER

Hrabia,
czyli jak ukraść
pół miasta

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68577-75-4

PROLOG

Każdy, kto znalazłby się na miejscu hrabiego Tarnawskiego, miałby prawo stać jak on z otwartymi ustami i zastanawiać się, czy to, co widzi, jest rzeczywiste, czy to jedynie złudzenie. Mimo że mdłe światło pochodzące z archaicznej lampy naftowej ledwo co oświetlało bibliotekę, to lśniła ona cała niewiarygodnym blaskiem pochodzącym ze skrytki pod podłogą. Stały tam dwie wielkie, otwarte skrzynie, przypominające ogromne reflektory zasilane złotem, srebrem i mnóstwem szlachetnych kamieni. Tarnawski na początku próbował jakoś oszacować wartość tego skarbu, ale po jakimś czasie zrozumiał, że jest ona po prostu ogromna i tylko kilku bardzo doświadczonych jubilerów potrafiłoby tego dokonać. I z pewnością zajęłoby im to bardzo dużo czasu, tak ogromna była ilość zgromadzonych tu drogocennych precjozów.

— Panie hrabio, przyszli stolarze. Czekają w dawnym gabinecie burmistrza — usłyszał zza pleców.

Tarnawski się odwrócił. Za nim stał Henryk, ubrany jak zwykle w klasyczny, pasiasty strój majordomusa, bardziej pasujący do odległego świata, z którego pochodził, niż do czasów współczesnych. Jego sylwetka — mimo osiemdziesięciu kilku lat na karku — była

wyprostowana. Twarz zaś, choć wyrażała wciąż niezmienny dystans do otaczającej go rzeczywistości, była przyjazna, ciepła i pełna wyrozumiałości.

— Powiedz im, że mogą zacząć swoją pracę, Henryku. — Hrabia westchnął ciężko i spojrzał tęsknym okiem na skarb, który był dziedzictwem pracy wielu pokoleń zamieszkujących okolicę.

— Myślę, że najpierw jakoś powinniśmy przykryć to wszystko — zaproponował służący. — Ci stolarze to wprawdzie dobrzy i uczciwi ludzie, ale takie skarby potrafią zepsuć charakter niemal każdemu.

— Masz rację. — Hrabia ponownie ciężko westchnął i każdy, kto lepiej go znał, nie mógł mieć cienia wątpliwości, że i on chętnie dałby się zepsuć owym skarbom.

Nic więcej jednak już nie mówił, tylko pomógł służącemu zakryć wieka skrzyń, przykryć je włazem i zamaskować stalowymi belkami.

Kiedy już tylko wprawne oko mogło dostrzec, że podłoga skrywa jakąś tajemnicę, Henryk ruszył w stronę drzwi. Nim jednak zdążył zrobić drugi krok, poczuł na ramieniu ciężką rękę hrabięgo.

— Jesteś pewien, Henryku, że dobrze robię?

— Ojciec naszego znakomitego poety, Antoniego Słonimskiego, dał mu kiedyś taką radę: jeśli nie wiesz, jak się zachować w danej sytuacji, zachowaj się po prostu przyzwoicie.

— Łatwo powiedzieć: przyzwoicie. Tylko co to znaczy? — Hrabia wzruszył ramionami. — Jeszcze kilka miesięcy temu...

— Kilka miesięcy temu był pan w zupełnie innym miejscu, panie hrabio. Teraz przyzwoitość nakazuje zrobić właśnie to — stwierdził zdecydowanie służący.

— Wiesz, Henryku, najbardziej chyba zazdrościć ci tej pewności.

— No cóż, dorastałem w czasach, w których relatywizm moralny jeszcze nie istniał. Owszem, ludzie kradli, mordowali się nawzajem, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie próbował tłumaczyć, że to wszystko dla dobra okradanych i mordowanych. Ci, którzy to robili, byli po prostu mordercami i złodziejami, panie hrabio.

— Tak, masz rację — przytaknął Tarnawski i desperackim głosem skazańca wydał polecenie: — Zawołaj stolarzy, niech czynią swoją powinność.

ROZDZIAŁ 1

Bękart

Kilka miesięcy przed tym, zanim stolarze czekali na wezwanie do biblioteki, w listopadzie roku dwa tysiące drugiego, w gabinecie burmistrza Kowalewskiego w ratuszu, w którym odbywały się posiedzenia zarządu miasta Swojskie, panował nastrój stypy. Pięciu zebranych osób nie cieszył nawet cudowny widok rozciągający się za oknem. Było przez nie widać najwyższe wzniesienie w okolicy, teraz całe jesienno złoto-czerwone. Ta pora roku najlepiej pokazywała, że w pełni zasługuje na swoją nazwę: Piękna Górka.

Pomiędzy zebranymi krążył Henryk, który przyniósł im na tacy gorące napoje mające ukoić ich smutek. Z wprawą doświadczonego służącego stawiał bezszelestnie filiżanki z kawą, gorącą czekoladą i szklankę z esencjonalną herbatą. Nikt mu za to nie podziękował ani nawet chyba go nie zauważył, a on sam zniknął po chwili niczym duch i gdyby zapytać obecnych, skąd wzięły się przed nimi napoje, pewnie nie potrafiliby odpowiedzieć. Tkwili wciąż nieruchomo na swoich miejscach. Podobnie jak postacie z portretów wiszących na ścianach, przedstawiających rodzinę hrabiów Tarnawskich, którzy swoimi

niewesołymi minami dopasowali się do nastroju zebranych. Niewiasty na nich uwiecznione patrzyły z melancholijnym smutkiem. Mężczyźni zaś — od średniowiecznego rycerza poczynając, a na powstańcu styczniowym kończąc — wrócili najwyraźniej z jakiejś bitwy, gdzie, sądząc po obliczach i opatrunkach, dostali ciężkie baty.

Nie inaczej było również z zebranymi, którzy w tym miejscu właśnie rozpamiętywali przegraną walkę. Tylko jeden z nich, siedzący z boku sekretarz zarządu, pan Leszek Biały, oparł głowę na rękach i najwyraźniej spał. Ponieważ nie chrapał, a pozostali na niego nie patrzyli, nikt tego nie zauważył i przedstawiciel miejscowej chrześcijańskiej demokracji mógł się oddawać bez problemu swojemu ulubionemu zajęciu.

W końcu jednak ktoś musiał przerwać ciszę...

— Ale przegraliśmy — zagał burmistrz Kowalewski.

Był to człowiek już w sile wieku, liberał, który niejedno w życiu widział i niewiele dziwiło go na tym świecie. Teraz jednak w jego głosie słychać było pewne zdumienie.

— Że przegramy, to było wiadomo od początku — odezwał się nerwowo wiceburmistrz Sielberkranz. — Ale żeby od razu w pierwszej turze?

W odróżnieniu od swojego szefa był zapalczywym młodzieńcem, szefem tutejszej Partii Narodowo-Demokratycznej. Jako człowiek czynu chciał od razu

znać przyczyny wszystkiego i niezwłocznie przystąpić do ich usuwania.

— Trzeba było nie pchać się w pięciu na mój stołek i kłócić przy każdej okazji — wyjaśnił mu swój punkt widzenia Kowalewski.

— Pan burmistrz też raczej nie kwapił się do rezygnacji z kandydowania — odparował Sielberkranz.

— Bo miałem najlepsze notowania — zaperzył się burmistrz.

— Chyba tylko pośród swoich znajomych, bo w wyborach był pan wprawdzie pierwszy, ale od końca. — Narodowiec uśmiechnął się ironicznie.

— Po prostu nie używałem populistycznych argumentów! A pan też, jak my wszyscy, nawet mandatu radnego nie dostał!

Przez chwilę wydawało się, że skoczą sobie do oczu, ale do akcji wkroczyła pani Sosnkowska, skarbnik zarządu i jedyna przedstawicielka płci pięknej wśród zebranych. Swoje nazwisko odziedziczyła po trzecim mężu, który, tak jak jego dwóch poprzedników, spoczywał obecnie na miejscowym cmentarzu. Potrafiła dobrze liczyć pieniądze i choć jej dotychczasowe inwestycje — mimo niezbyt zaawansowanego wieku — niespodziewanie wygasaly, to odziedziczyła po nich pokaźne kwoty. Jako kobieta mocno doświadczona przez los wiedziała więc, że każdą stypę trzeba jak najszybciej zakończyć i wrócić do normalnego życia.

— Panowie, wybory były dopiero wczoraj, a wy już się kłóćcie. Lepiej zastanówmy się, co teraz zrobić.

— No właśnie. I co teraz zrobimy? — przyszedł jej w sukurs pan Zenon Wysmyk, który wprawdzie nie pełnił w zarządzie żadnych oficjalnych funkcji, ale jako sponsor przegranych partii i miejscowy przedsiębiorca budowlany był żywotnie zainteresowany dalszym rozwojem sytuacji.

Nim jednak zdołał uzyskać odpowiedź, głowa śpiącego z boku opadła, a jego usta wydały potężne chrapnięcie, które zwróciło uwagę obecnych. Wywołało przy tym lekką konsternację, ale jednocześnie nieco rozładowało atmosferę. Siedzący obok sekretarza Białego wiceburmistrz trącił sąsiada łokciem, co spowodowało rozbudzenie śpiącego.

— Niech pan nie śpi, panie Biały — odezwał się Sielberkranz do przedstawiciela Chrześcijańskiej Demokracji.

— A co się stało? — spytał półprzytomnie obudzony.

— Przegraliśmy wybory.

— To niczego nie przespałem. — Machnął lekceważąco ręką, jakby wcale go to nie przerażało. Zaraz jednak zapytał rzeczowo: — I co dalej?

— Dalej zastanawiamy się, co robić — odparł burmistrz.

— Jak to co? — obruszyła się pani skarbnik. — Trzeba chronić pieniądze.

— Oczywiście... — przytaknął jej błyskawicznie sekretarz i po chwili dodał: — W zgodzie z wartościami, uchowaj Boże. — To zastrzeżenie było jego ulubionym powiedzonkiem, o czym jeszcze nie raz będziemy mogli się przekonać.

— Ile mamy na to czasu? — Sosnkowska ponownie udowodniła, że jest nadzwyczaj rzeczową kobietą.

— Jakies cztery tygodnie, góra miesiąc — sprecyzował Sielberkranz, który był prawnikiem. — Choć zając sprawność czerwonych w przejmowaniu władzy, mogą to być tylko trzy tygodnie.

— Nie wolno więc tracić ani chwili — zdecydowała pani skarbnik. — Od czego zaczynamy?

* * *

Wydawać by się mogło, że w obozie wygranych powinien w tej chwili panować nastrój niemal euforyczny. Przyszłość zapowiadała się bowiem świetliście. Już wkrótce marne, opozycyjne ochłapy miały się przecież zamienić w związane z władzą profity. Jednak wśród zwycięzców przeważali praktycy rządzenia. Wprowadzie ich władza nie docierała do tej pory aż do samego ratusza, ale to nie było konieczne. Kierowanie na każdym szczeblu rządzi się tymi samymi prawami, dlatego obecni doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że przeciwnik nie zasypia gruszek w popiele.

— Musimy jak najszybciej iść do ratusza — zażądał stanowczo Materna, wieloletni pierwszy sekretarz podstawowej organizacji partyjnej w zakładach odlewniczych, doświadczony aktywista, człowiek czynu, w tej chwili wiceprzewodniczący miejscowych struktur lewicy, a już wkrótce pierwszy wiceburmistrz.

— Spokojnie, spokojnie, kolego — ostudził go przewodniczący Dłużniak, obecnie burmistrz elekt. — Na razie wyniki wyborów są nieoficjalne, tak że nie mamy w zasadzie mandatu...

— Ale mamy obowiązek bronić majątku publicznego, który właśnie jest rozkradany. Przecież pan wie, co oni tam kombinują.

— Wiem, ale jestem spokojny, że za wiele już nie mogą zrobić. W razie czego wyprocesujemy to od nich.

— Tylko że prawnicy kosztują — zauważył sceptycznie Materna. — Chyba że pan przewodniczący ma jakąś zaprzyjaźnioną kancelarię, której chce powierzyć prowadzenie tych spraw — zauważył uszczypliwie, a burmistrz elekt w jednej chwili zrozumiał, o co mu chodzi.

— Co pan tu sugeruje? Że chcę wyprowadzać pieniądze miasta do zaprzyjaźnionych kancelarii?! — obruszył się Dłużniak.

— Gdzieżbym śmiał. Tylko po co mamy wydawać pieniądze później, jak możemy zapobiec ich wyprowadzeniu z miejskiej kasy. Dzięki temu szybciej

będziemy mogli je przeznaczyć na cele ważne dla społeczeństwa naszego miasta. Nieprawdaż?

Dłużniak przygryzł wargi. Najchętniej zignorowałby swojego obecnego i przyszłego zastępcę, ale rząd siedzących przy stole wygłodniałych działaczy nie pozwalał mu na to. Ponadto sam był w Swojskich raczej ciałem obcym, za to Materna wrośnięty był w okolicę z dziada pradziada i miał szerokie poparcie w miejscowym aktywie. I gdyby nie to, że jego twarz naznaczona była jakimś dziwnym brakiem uczuciowości, który nie pozwalał mu zdobyć zaufania wyborców, sam by zapewne startował w ostatniej elekcji na włodarza miasta. Dlatego zadowolił się jednak funkcją radnego, do uzyskania której wystarczyły głosy znajomych i rodziny, i teraz był ważnym rozgrywającym.

— Co pan proponuje, panie Materna? — zapytał Dłużniak.

— To oczywiście, panie burmistrzu. Zwołałem już manifestację głęboko oburzonych obywateli, zaniepokojonych rozkradaniem majątku miasta. Dla wzmocnienia efektu zaprosiłem głównie młodzież, dzieci starych, wypróbowanych towarzyszy... to znaczy działaczy naszego komitetu wyborczego „Swojskie na lewo”. Na ich czele ruszymy przed ratusz i zablokujemy wszelkie próby bezprawnych działań.

— Chce pan zrobić jakąś manifestację? — Dłużniak się skrzywił.

— Chcę po prostu wyrazić słuszny gniew obywateli. — Materna zerknął na aktyw, który kiwaniem głów potwierdził, jak bardzo jest gniewny.

— No dobrze. Jeśli pan uważa, że to konieczne — zgodził się niechętnie burmistrz. — Uważam, że to absolutnie niezbędne. Za dobrze znam tych złodziei. Jak się szybko nie zorganizujemy, to ukradną pół miasta!

* * *

Atmosfera w ratuszu tymczasem nieco się poprawiła. Zabezpieczanie bytu na przyszłość szło obecnym nadzwyczaj sprawnie i wydawało się, że lata, które im przyjdzie spędzić w opozycji, nie będą aż takie straszne. Zwłaszcza że spędzą je w nowych domach wybudowanych na Pięknej Górze na działkach, które dopiero co zostały przepisane na Zenona Wysmyka.

Gorące napoje zostały już wypite, dlatego burmistrz Kowalewski sięgnął do podręcznego chłodzonego barku, dzięki któremu trunki tam się znajdujące miały odpowiednią temperaturę. Rozlał wódkę do kieliszków i chciał nawet wznieść już toast za nienajgorzej rysującą się przyszłość, kiedy usłyszał okrzyki dobiegające z zewnątrz. Po chwili na moment wprawdzie ucichły, jednak tylko po to, by ponownie rozbrzmieć, ze zdwojoną siłą.

— Co to za hałas? — spytał zaniepokojony Sielberkranz.

Sekretarz Biały, siedzący najbliżej okna, wstał, aby sprawdzić powód zamieszania. Zanim jednak zdążył to zrobić, do gabinetu burmistrza wszedł Henryk.

— Przepraszam bardzo, ale jacyś ludzie dobijają się do drzwi — odezwał się jak zwykle z pewnym dystansem do wszystkich i wszystkiego, tak typowym dla służących starej daty.

— Czego chcą? — warknął Sielberkranz.

— Wydaje mi się, że władzy.

— Czerwoni — stwierdził Biały, wyglądając przez okno na podwórzec. Mrużył przy tym oczy i przykładął rękę do czoła, bo jesienne słońce, choć słabe, świeciło prosto w okna gabinetu burmistrza. — Ale ludzi. Ze trzydziestu chłopów.

— Czy mam ich prosić na pokoje? — spytał z niezmałym spokojem służący.

— Każ im się wynosić — polecił wiceburmistrz.

— Nie, nie możemy tak zrobić. — Kowalewski powstrzymał chcącego spełnić polecenie Henryka. — Niech Jan im każe wystosować trzyosobową delegację, którą przyjmujemy.

Służący kiwnął lekko głową na znak, że przyjmuje polecenie, ale wychodząc, stanowczo zaznaczył:

— Na imię mam Henryk.

— Co on tu jeszcze robi? — spytał Wysmyk, gdy za służącym zamknęły się drzwi.

Choć bywał częstym gościem w ratuszu, to Henryka widywał raczej rzadko i do tej pory nie interesował

się jego losem. To pytanie też raczej zadał dla zabicia czasu.

— Służy — odparł z rozbrajającą szczerością burmistrz.

— Ale do czego?

— Jest trochę portierem, trochę sekretarką.

— Sekretarką?

— Nikt nie parzy takiej dobrej kawy jak on — wtrąciła się do rozmowy Sosnkowska.

— Ale skąd on się tu wziął?

— Służył jeszcze u starego hrabiego Tarnawskiego — zaczął tłumaczenie Biały, który był miłośnikiem dziejów miasteczka Swojskie. — Był nawet jego ordynansem w wojsku. Potem obaj zostali na Zachodzie, a jak pan hrabia umarł, świeć panie nad jego duszą — przeżegnał się — to się okazało, że zapisał mu pokój w swoim pałacu... znaczy obecnym ratuszu. Jak żeśmy pierwszym razem wygrali wybory w dziewięćdziesiątym, tośmy mu ten pokój przyznali. Nawet jak potem wrócili czerwoni, to mu go nie zabrali, uchowaj Boże.

— To ile on ma lat?

— Jakieś osiemdziesiąt kilka.

— Świetnie się trzyma. Dałbym mu najwyżej sześćdziesiąt.

— Dużo się rusza, mało pije, nie pali.

— I w ogóle jest trochę jak duch — zażartował Kowalewski. — Czasem mam wrażenie, że przenika przez ściany, bo zjawia się obok ni stąd, ni zowąd.

— Á propos duchów — ożywił się Wysmyk. — Podobno w tutejszym kościele kiedyś straszło?

— Tak — przytaknął sekretarz Biały. — Kilka razy po wojnie słyszano tam jakieś głosy. Ale ostatni raz ze czterdzieści lat temu.

— Co oni się tak grzebią? — Wiceburmistrz zaczął się niecierpliwić.

Ledwo wypowiedział te słowa, a do pokoju wszedł Henryk z burmistrzem elektem, przewodniczącym Dłużniakiem, jego zastępcą Materną i szefową miejscowej młodzieżowej lewicowej przybudówki, Sylwią Chuchałą, szykowaną na drugiego wiceburmistrza. Na ich twarzach widać było wyraźne wzburzenie i poczucie misji ochrony majątku publicznego.

— A tu była stajnia pana Hrabiego. — Służący pokazał ręką na gabinet. — A tam, gdzie stoi biurko pana burmistrza, był żłób. — Wskazał gustowny mebel stojący w pobliżu półki z książkami.

— Co pan robi? — oburzył się Sielberkranz.

— Oprowadzam nowych właścicieli, gdyż nie mieli oni szczęścia należeć do ekipy, która cztery lata temu opuściła te mury — wyjaśnił ze stoickim spokojem Henryk. Jednak zobaczywszy zdumienie słuchaczy, dodał: — Pozwolę sobie pożegnać państwa. — I wyszedł z gabinetu.

Burmistrz usiadł za swoim biurkiem i przybrawszy urzędową minę, zapytał nowo przybyłych:

— Czego sobie państwo życzą?

— Żądamy zaprzestania wszelkich prac byłego zarządu naszego powiatu — odezwał się Dłużniak.

— O przepraszam, obecnego zarządu — poprawił go burmistrz. — Pan obejmie swoją funkcję dopiero za kilka tygodni, kiedy wyniki wyborów zostaną formalnie zatwierdzone na szczeblu ogólnopolskim.

— Chodzi więc nam o to — Materna pokręcił głowę ze zniecierpliwieniem — byście się, panowie, powstrzymali do tego czasu z wszelkimi działaniami.

— Niestety — burmistrz rozłożył bezradnie ręce — nie możemy zostawić powiatu bez sprawnej władzy.

— Ale możecie się ograniczyć do czynności zwykłego zarządu i nie wykonywać żadnych czynności rozporządzających. — Dłużniak, tak jak Sielberkranz, był prawnikiem i potrafił precyzyjnie się wyrażać.

— Pan wybaczy — Kowalewski dumnie podniósł czoło i spojrzał swojemu następcy prosto w oczy — ale dopóki ja tu jeszcze rządzę, sam będę ustalał, co należy do zakresu moich obowiązków.

— Jeśli pan się do tego nie zastosuje, podniesiemy raban w mediach — ostrzegł go przewodniczący.

— I co z tego? Spadną mi notowania?

Dowcip Kowalewskiego rozśmieszył wszystkich poza gośćmi. Notowania były ostatnią rzeczą, jaką się będą przejmować przez co najmniej trzy lata. Chwilowo mogłyby im spaść nawet do zera, byleby tylko udało się zatrzymać to, co sobie właśnie przyznali.

Dłużniak tylko przygryzł górną wargę i czekał, aż przestaną się śmiać. Gdy wesołość umilkła, powiedział cicho, ale bardzo dobitnie:

— Dobrze panu radzę.

Kiwnął na swoją świętę i wyszedł. Odprowadzały ich już bynajmniej nie rozbawione spojrzenia. Wiedzieli, że burmistrz elekt to groźny przeciwnik. W końcu pokonał ich w wyborach, i to z wynikiem znacznie lepszym od średniej krajowej uzyskanej przez lewicę. Muszą dobrze przygotować się do kolejnego starcia. Tym razem bowiem chodziło o coś znacznie ważniejszego niż władza. Chodziło o pieniądze.

Ciszę przerwał Sielberkranz:

— Ktoś zdradził.

— Pan tu, jak zwykle, te swoje teorie spisku. — Burmistrz machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

— A skąd niby wiedzą, o czym tutaj rozmawiamy? — Sielberkranz nie dawał za wygraną.

— Jak to skąd? — Biały uśmiechnął się pod nosem. — Przecież ich znajomi cztery lata temu siedzieli tu tak samo i główkowali w podobny sposób. Tylko kary umowne dali mniejsze, bo mieli do utrzymania jedynie dwie partie, uchowaj Boże. To Dłużniak z Materną się mogli spokojnie domyślić.

— A skąd pan o tym wie? Pewnie pan z nimi trzyma i o wszystkim im powiedział. — Wiceburmistrz przystąpił do ataku, mając nadzieję, że wykrył wreszcie

wrogi spisek, który niespodziewanie pozbawił go władzy, spychając na opozycyjne pozycje.

— Jak pan Leszek mógł cokolwiek powiedzieć — Kowalewski stanął w obronie sekretarza — jeśli jest cały czas tutaj, podczas tej rozmowy?

— No to skąd wiedzą, o czym tu rozmawiamy? — Sielberkranza nie przekonało poprzednie tłumaczenie Białego, więc zaatakował go ponownie: — Widziałem jak pan stał przy tym oknie i dawał im jakieś znaki. — Usiłował naśladować mrużenie oczu i przykładanie ręki do czoła.

— Pan to cierpi na jakąś manię prześladowczą — Zenon Wysmyk skrzywił się z niesmakiem.

— Ja mam manię?! Dobre sobie! — obruszył się narodowiec i wydał z pogardą wargi. Nagle coś przyszło mu do głowy. — Ale, ale, a może to pan doniósł swojemu bratu bliźniakowi?

— No wie pan? Jak pan może. — Przedsiębiorca był do głębi poruszony oskarżeniem. — Przecież pan wie, że już od bardzo dawna nie utrzymuję kontaktu z tym czerwonym zaprzańcem, który jest jak wrzód na mojej dupie. Od małego mnie prześladował. Kiedy dwadzieścia lat temu ja zacząłem udzielać się w opozycji, on na złość wstąpił do SB i wykorzystując nasze podobieństwo, rozpracował struktury podziemne, przez co musiałem uciekać z moich rodzinnych stron. Ale ta kreatura paręnaście lat temu przyjechała tutaj za mną i oczywiście założyła konkurencyjny biznes.